ROK VII 17 PAŹDZIERNIKA 1926 R. Nr. 25

HARCERZ

TYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

MIŁOŚĆ

Jeśli harcerstwo ma spełnić istotne zadanie, jeśli ma wydać nowe, zdrowe pokolenie polskie, jeśli ma najpierw u siebie w Ojczyźnie, potem w ogólnoświatowej organizacji skautowej, wreszcie także w polityce światowej zapoczątkować okres panowania wzniosłych idei — to musi już teraz z całem przekonaniem, z całą głębią uczucia i woli pracować nad przywróceniem właściwego znaczenia — miłości.

Często ustami powtarzamy o wzajemnej miłości druha do druha, o zgodnem współżyciu i braterskich uczuciach, które panują, bo panować winny w naszej organizacji. Przejęci jesteśmy jako harcerze miłością względem bliźnich, nawet dla zwierząt umiemy wzbudzać w sobie to uczucie, nawet dla martwych przedmiotów, których nie wolno nam niszczyć. Przecież na sztandarze naszym wypisujemy wyraźnie hasło miłowania przyrody całej.

Wszystko to są zasady szczytne, wzniosłe, przez najstarszych i najmłodszych członków organizacji uznane za zbawcze, a jednak — jednak, gdy spojrzymy na życie nasze, musi budzić się w nas wątpliwość, czy to hasło stało się częścią naszego duchowego bogactwa, czy ono przeniknęło do głębi dusz naszych, czy wprowadziliśmy je do tego stopnie w nasze codzienne życie, iż ta zasada, zasada miłości kieruje naszemi czynami?

Wiecie dobrze druhny i druhowie, że nie ten jest wzorowym obywatelem, kto na zebraniach publicznych rozumnie i godnie przemawia, ale ten, kto w czynach codziennych jest rozumnym i dobrym członkiem społeczeństwa.

Więc to samo i u nas jest. Nie ten, kto zna dobrze, napamięć przykazania harcerskie, ale ten, kto je zawsze i wszędzie w czyn wciela, ten tylko jest dobrym członkiem organizacji naszej, naszego Związku Harcerstwa Polskiego.

Dlatego też dobrze jest od czasu do czasu wnikać w samego siebie, zrobić z sobą rachunek sumienia, cofnąć się pamięcią wstecz i zbadać: Czy spełniam nasze przykazania?

Jeśli między poszczególnemi drużynami istnieje stosunek przyjaźni — dobrze jest. Ale czy nie widzicie częściej stosunku obojętności? Czy

wielu znajdziecie harcerzy i harcerek, którzy znają dobrze stan organizacji, którzy wiedzą, ilu i gdzie mają druhów i druhen, dla których w myśl prawa są siostrami i braćmi? Czy w życiu drużyny Waszej był kiedy taki wypadek, abyście u swoich władz szukali informacji, czy przypadkiem jakiej drużynie harcerskiej nie byłaby przydatna wasza pomoc? Dopiero wówczas, gdy wzbudzi się we wszystkich drużynach wzajemne zainteresowanie, gdy poznacie nawzajem swoje bolączki i kłopoty i wspólnie pragnąć będziecie wydobyć się z nich, gdy powstanie w was i pragnienie i ofiarna zdolność wzajemnej dla siebie pomocy — dopiero wtedy mówić będziemy mieli prawo, że harcerstwo hołduje idei miłości braterskiej.

Ale spojrzyjcie, jaki jest stan faktyczny. Czy nie bywa przypadkiem wśród gromady harcerskiej faktów wprost przeciwnych? Jesteśmy coprawda ludźmi, więc błądzić musimy. Ale nie to jest straszne, iż zdarzają się wśród nas wypadki łamania prawa pod względem braterskich uczuć, lecz to, że, gdy taki wypadek zajdzie, niema wśród nas zdecydowanego oburzenia, niema tej potężnej opinji, która biorąc w opiekę obie zwaśnione jednostki, nauczy je w życiu stosować prawo harcerskie.

Tę opinję wytworzyć jest rzeczą gwałtownie konieczną już dziś, już natychmiast.

Idzie harcerstwo wciąż naprzód. Rozwija się nasza sieć organizacyjna, coraz nowe zdobywamy pola w technicznem naszem wykształceniu, ale równolegle z tem musi iść także wnikanie w dusze nasze tych przecudnych zasad, jakie z sobą harcerstwo niesie.

Spojrzyjcie dalej — spojrzyjcie wokół siebie. Jaki jest u nas stosunek robotnika do fabrykanta, jaki stosunek parobka do dworu, jaki stosunek podwładnego do zwierzchnika? Czy jest tam — jako reguła — choćby cień tylko zasad, jakie harcerstwo szerzy? Czy nie widzicie, iż zamiast miłości — nienawiść panować zaczyna wszechwładnie na świecie, zamiast myśli o wzajemnem sobie pomaganiu wciska się do dusz ludzkich myśl o szkodzeniu bliźniemu, zamiast poczucia wspólnoty narodowej wciąż tylko rozdźwięki słychać, wciąż widać walkę niezdrową, zaciętą, podstępną.

Czy wolno wam wejść do takiego społeczeństwa nieprzygotowanym, niezaprawionym do tych zasad, jakie z sobą nieść jest waszym obowiązkiem? Czy potraficie tę całą masę ludzkich intryg i nienawiści, tego jadu, wylewającego się wokoło — przerobić do gruntu, czy potraficie usunąć to, co za zło uważacie dzisiaj, gdy nie przyzwyczaicie się usuwać go z pośród siebie samych?

Spotkacie w życiu różnych ludzi, różne poglądy, spotkacie także tych, którzy w was wielkie ideały zabić będą się starali i przekonać was, że życie nie wytrzymuje tych haseł, jakie wy z sobą przynosicie. Czem obronicie się przed tymi szatanami, gdy nie będziecie mieli z swych lat młodzieńczych doświadczenia, czynu, iż miłość wzajemną w gromadzie ludzi można zasiać, że można wytę-

pić nienawiść i precz ją usunąć z życia.

Zresztą — jesteście członkami Kościoła katolickiego. Z Chrystusowej nauki wzięło harcerstwo to, co tylko radą jest ewangeliczną, ale co my w harcerstwie przejąć i w życie wprowadzić ślubujemy od zarania naszego przystąpienia do organizacji. Więc jak spełnicie to, co jest i Kościoła i organizacji przykazaniem, jak spełnicie zasadę o braterskiej miłości wszystkich członków wielkiej harcerskiej i skautowej rodziny, o miłości bliźnich?

A jeśli spojrzycie dalej, poza obręb naszego narodu — co ujrzycie? Czyż myślicie, że nie zdolni jesteśmy pójść z miłością do tych obcych narodowości, które potrafią zdobyć się na służbę harcerskim ideałom, czy nie powininśmy i tych także Polski obywateli wciągnąć pod nasze wpływy, aby się z nami jedną rodziną czuli, by im dobrze było wśród nas i z nami. Choćby nam powiedzieli, iż chcą swe życie poświęcić na umniejszenie Ojczyzny naszej, tłumaczyć im winniśmy, że taka chęć nieoparta na sprawiedliwości jest zła, bo chcą oni zabrać to, co nasze, więc lepiej niech takie myśli porzucą i wraz z nami do pracy stają.

Przecież za kilka, czy kilkanaście lat, wy staniecie do pracy i do rządów w naszej Ojczyźnie i tem lepiej tę pracę spełnicie, im prędzej i godniej zaprawicie się do służenia zdrowym, wielkim ideom.

I wtedy zapewne wybiegnie myśl wasza poza Polski granice. Wtedy ujrzycie w stosunkach międzynarodowych nie Chrystusową zasadę miłości bliźniego, ale przeciwnie — to, co już dzisiaj na małą skalę w naszych stosunkach społecznych widzicie.

A chyba nie zechce nikt z harcerzy rzucić sztandaru, któremu dotąd służy, nie zechce nikt zaprzeć się tego, iż pragnie, by przyszedł czas przyjaznych, na wzajemnej miłości narodów opartych stosunków międzynarodowych.

Więc poważnie, głęboko zastanówcie się druhny i druhowie, czy w tem najbliższem waszem otoczeniu, w rodzinie, w klasie, w szkole, w warsztacie, w fabryce, w kopalni, na wsi, wszędzie, wszędzie gdzie żyjecie, wiernie spełniacie przykazanie o miłości bliźniego.

Dziś w małym zakresie musicie zapragnąć wcielić je w życie, potem poniesiecie je w szerokie warstwy narodu i do innych narodów. Służyć temu hasłu będziecie całe życie — więc przygotujcie się zawczasu — bo praca przed wami ciężka, trudna.

Gdyby was przeraził ogrom niebezpieczeństwa — zostawałoby wam jedno tylko: wycofać się z harcerstwa, rzucić nasz sztandar, uciec sromotnie z naszych szeregów. Ale w takim razie — jeśli dla tych powodów to uczynicie — chyba nie wolnoby wam było powtarzać tego, co dnia każdego i rano i wieczorem mówicie: Przyjdź Królestwo Twoje.

Że zaś do tego nikt z nas nie jest zdolny — więc czem prędzej zabierzcie się do tej ważnej pracy: tępić nienawiść — szerzyć uczucia braterskiej miłości.

Wszędzie — zawsze! T. U.

Zygmunt Lorentowicz

RZECZPOSPOLITA ROSSOSZAŃSKA

(Ciąg dalszy)

Pozbieraliśmy z Władkiem gazety i broszurki z powrotem do worka i wynieśliśmy je do parku do t. zw. „kuchenki Zosi", gdzie za dobrych czasów smażyło się konfitury w lecie, i tam paliliśmy blisko dwie godziny, nic sobie nie zostawiając z tego spadku po zastrzelonym agitatorze.

Po skończeniu Władek poszedł pozbierać suszącą się bieliznę — a ja przelazłem przez dziurę w płocie koło krowiarni i wyszedłem na step. Zachodziło słońce. Cały zachód zajęty ogromną czerwoną jak płomień łuną.

Chłodne listki koniczyny wciskały się pomiędzy bose palce nóg i przeszkadzały iść.

Szedłem zupełnie bezmyślnie, naprzełaj przez koniczynę do drogi na Marysin.

Na drodze marysińskiej pomiędzy włoskiemi topolami spotkałem starego dziada-żebraka.

— A, szczo tam czuty w świti, diat'ku?

— Oj, złe, panoczku, ludzie się biją, mordują jedni dla komuny drudzy dla Petlury, a wszyscy grabią, a ziemi tyle już drugi rok nie obsiane.

— A dlaczego tak jest, diat'ku? — pytam.

— Ha, Bih nas za naszi hrechi pokarał, ceż wże kara Boża. No wy z Rossosza?

— Tak.

— Ostawajteż z Bohom, ja do Pohoryły.

Pożegnaliśmy się przed białemi bramami.

Zbliżając się do dworu, słyszałem coraz wyraźniej muzykę. Rozepchnąłem krzaki, skracając sobie drogę i cicho zbliżyłem się do dworu, nie chcąc przeszkadzać grającemu. Nie wiem, co to było, ale granie to jakoś dziwnie harmonizowało z tym cicho zapadającym mrokiem.

Świerszcze zaczynały także swój koncert.

Wszedłem do salonu po cichu, na palcach.

Przy pianinie siedział tyłem do mnie odwrócony pułkownik Nikolski i grał.

Nikogo więcej nie było w salonie. Widziałem wyraźnie ciemną schyloną głowę, szerokie ramiona, pas skórzany i kobury rewolweru.

Pułkownik grał bez nut, na pamięć. Grał coś bardzo smutnego.

Wtem przestał grać. Widziałem, jak objął głowę rękami i pochylił się nad pianinem tak nisko, aż czołem dotknął wieka klawiatury i tak siedział. Myślał pewno o swem tułaczem życiu.

Cicho było w całym dworze, jeno świerszcze grały w parku.

Po cichu, bez szelestu wyszedłem do jadalnego pokoju. Żal mi było pułkownika.

Utarł się zwyczaj, iż po tańcach i zabawach, które się dzisiaj trochę nie kleiły, zbieramy się w kilka osób przy maślanym ogarku w małym pokoju na mleko przed spaniem. Służąca przynosi ogromną konewkę gotowanego, gorącego mleka i każde z nas pije, ile chce.

Podczas tych kilku lub kilkunastu minut decydują się często różne, ważne kwestje planów na dzień następny. Oto dzisiaj zdecydowaliśmy przyśpieszyć termin naszej „sztuki".

Gramy już w niedzielę, t. zn., że mamy niecały tydzień czasu.

8 sierpień.

Jakoś spokojnie w Rossoszu po tym wypadku z agitatorem. Roboty na selekcji skończyły się już.

Drugi numer „Rossoszanina“ odczytany na tarasie nie zawiódł również nadziei.

Ale, przecie, gdyśmy się zeszli wszyscy „na mleko“, mimo sukcesów dnia, humory nasze trochę zmieniły się. Pan Benedykt Brzozowski, ojciec Władka, otrzymał jakieś wiadomości z Humania i postanowił wyjechać z Rossosza z żoną i dziećmi za kilka dni.

Oby wyjazd Jadzi i Władka nie był początkiem końca republiki Rossoszańskiej! Przecie, jeszcze kilka dni będą tutaj i może zmieni się jeszcze ten projekt w ciągu tych dni kilku.

Rossosze, 12 sierpień.

Wieści powtarzają się. Podobno od południa idą wojska Denikina przeciwko bolszewikom, a bolszewicy kilkoma szlakami cofają się na Kijów. Powstańcy „nasi“ nic nie wiedzą.

W każdym razie szlaki te od nas muszą być bardzo daleko.

A przecie w razie konieczności opuszczenia tych ścian będzie nam żal tych chwil wesołych i beztroskich.

Rossosze, 14 sierpień 1919 rok.

Wczoraj opuścili Rossosze Jadzia i Władek z rodzicami, a dzisiaj wyjechali „Pohorylacy“. Obie ekspedycje wyjechały wołami, na wozie, bo koni niema już wcale.

Do Humania jedzie się tym nowym środkiem lokomocji dziesięć godzin. Wróciliśmy do przedopotopowych czasów.

Ja również cofnę się dzień jeden i spróbuję opisać przedwczorajszy wieczór. Był to pożegnalny wieczór na cześć Jadzi, Władka i „Pohorylaków“.

Były tańce i zabawy. Powstańcy „nasi“ stawili się w komplecie. Był pan Nikolski, Steiner, Kursenko, Melnik i Gauta.

Wyprawa na Humań nie udała się. Zmobilizowane wsie okoliczne nie mogły zwyciężyć solidniej bojowo zorganizowanego garnizonu bolszewickiego i chociaż zdobyły Humań na kilka godzin, przecie musiały się cofnąć przed pancerkami bolszewickiemi, zostawiając rannych swych i cenną artylerję w rękach wroga.

I oto znów czekają odpowiedniej chwili.

Sztab, rzecz prosta, wrócił do Rossosza, a teraz przyjął zaproszenie na nasz bal.

Był to bal, jak się patrzy. Nawet stroje nasze były cokolwiek więcej uroczyste, niż zwykle. W czasie zabawy zapomnieliśmy o tem, że oto rozjeżdżamy sią już za kilka dni w różne strony, a za miesiąc możemy już być bardzo daleko od tych ścian.

Tańczyli wszyscy: ci, co umieli i ci, co nie umieli. Wczoraj, w niedzielę „wystawiliśmy“ naszą „sztukę“, właściwie dwie komedyjki: „Dwóch nieśmiałych“ i „Żywy nieboszczyk“.

Sukcesy takie same, jak przy czytaniu „Rossoszanina“. Scenę urządziliśmy w salonie. Widownią był taras i część salonu. Kostjumy, peruki zaimprowizowane z włosia końskiego, ba! nawet dekoracje najpotrzebniejsze urządzone były nadspodziewanie przemyślnie, a dla widowni były prawdziwą niespodzianką.

Publiczności było bardzo dużo, boć to niedziela i wiele osób z cukrowni przyszło na „przedstawienie“. Najwięcej zasług nad zorganizowaniem tego widowiska położyły stanowczo Zosia i moja siostra Lenka, to też jako reżyser w dwóch osobach dostały porządne brawo.

Tańce odbyły się w tych samych kostjumach i perukach, a każdy w dalszym ciągu grał mimo woli swoją rolę.

Przy fortepianie zmieniali się ciągle pan Nikolski i pani Brzozowska.

Dziwnie wyglądał ten salon niezbyt oświetlony dwoma świecami przy fortepianie (wielka uroczystość), ale za to pełen księżycowych promieni, które oświetlały przebiegające lub wirujące około okien pary. Noc jasna i ciepła.

Każdy zbierał ukradkiem podpisy i sentecje do pamiętników — na pamiątkę. Panował bardzo serdeczny nastrój.

Jedna chwila dla mnie jest bardzo pamiętna i wyraźna. Udało nam się uprosić pana Steciurę o to, by nam co zaśpiewał ostatni raz.

Nie dał się długo prosić. Pan Nikolski akompanjował mu na pianinie.

Była to jakaś dumka ukraińska, zaczynająca się od słów:

Ja siohodnia szczoś duże sumuju:
Pro kozaćkuju doliu shadał.

Było tam i o sławie mołojeckiej, która jak wicher przed kozakiem pędzi stepem, i o walkach zwycięskich, i o tem, jak zła dola „w goście" do kozaka przyszła.

„A teper wse projszło, wse pro-
[pało
„Czorna chmara kruhom zalahła
„I na horie synam Ukrainy
„Łycha dolia w hosti pryszła.

Skończył pan Steciura swoją piosenkę i opuścił głowę — a oczy wbił w jakiś punkt na podłodze. Pan Nikolski też przestał grać i cisza zapanowała w salonie tak wielka, że słychać było przez otwarte na taras drzwi nawoływania przepiórek i rechot żab nad stawami.

Długie pasy księżycowego blasku przewlokły się przez całą szerokość pokoju od okien i oszklonych drzwi. Była długa chwila milczenia, nikt się nie ruszał.

Wtem, postawiony w rogu pokoju karabinek pana Nikolskiego, obsunął się po gładkiej ścianie i z chrzęstem upadł na podłogę.

Pan Steciura podniósł głowę i zdając sobie sprawę z nastroju jaki swoją dumką wywołał, zerwał się z krzesełka i zwracając się do nas, powiedział: „No, ne sumujteż, wy szcze mołody, i ne tilki zła dolia, a i szczastie do was w hosti pride".
Pane Nykolski, mazurku," dodał po polsku i skłonił się przed Jadzią.

Pan Nikolski już grał siarczystego mazura. Długo trwały te tańce tego wieczoru, takie huczne pewno ostatni raz. Z godziny na godzinę udawało się uzyskiwać prolongatę — i tańczyliśmy do pierwszej w nocy.

Dzisiaj siedząc na tarasie opisuję ten wieczór, tak wyraźny w pamięci, iż zda mi się, że nie zapomnę go prędko.

Od południa idzie, naprawdę jakaś zawierucha. Coraz częstsze wieści o cofających się, zdezorganizowanych.
— — — — — — — —

Oto ostatnia kartka mojego dziennika drogi Czytelniku. Jeżeli losy tego państwa zajęły Cię to opowiem Ci jeszcze o jego upadku.

Otóż od dnia tego ubywało nas coraz więcej z Rossosza. Bolszewicy zbliżali się naprawdę. Już nie jak rzeki wielkie płynęły bandy zbrojne, ale jak strumyki,co zalały cały kraj, niszcząc, co jeszcze nie zostało dotąd zniszczone.

W tak zmienionych okolicznościach pobyt w mieście stawał się bezpieczniejszym niż na wsi, przeto wyjeżdżali wszyscy do Humania.

A o świtaniu dnia jednego banda bolszewicka rozwaliła kolbami drzwi dworu i wdarła się do środka, rozgramiając pozostałe meble i część dworu zamieszkałą przez Janowskich.

Pani Brzozowska z córką ukryła się wieczorem w fabryce i udając nauczycielkę, która przyjechała do znajomych na tygodniowe wakacje na wieś, unikła grożącego jej niebezpieczeństwa.

Powstańcy nie spali tego dnia we dworze i zapewne zostali uratowani. Nie widziałem już potem ani Steciury, ani Nikolskiego. Czy żyją, nie wiem.

Napewno doszły nas wieści o śmierci tego tajemniczego Musiałowicza. Zamordowali go bolszewicy w bestjalski sposób koło Ternówki, w leśniczówce.

Pozostali mieszkańcy dworu, pośród których i ja byłem, udawali służbę folwarczną i oficjalistów dworskich, pozbawionych pracy przez rewolucję. Jakoś nikomu nie stało się nic złego, okradli nas jeno porządnie.

Po moim wyjeździe, gdy watahy bolszewickie poszły na północ, we dworze pozostali jeno Janowscy, ale i oni mieli zamiar w krótkim czasie opuścić Rossosze.

Rzeczpospolita Rossoszańska przestała istnieć.

Takie są dzieje tego państwa.

* * *

Na zakończenie dodać muszę, drogi Czytelniku, iż kilka tygodni temu miałem wiadomości, iż dwór Rossoszański stoi jeszcze cały i nie zniszczony w zdziczałym już zupełnie parku.

Może kiedy w noce takie jasne, lipcowe wspomina nasze tańce, zabawy i spacery.

My, obywatele tej krótkotrwałej republiki często wracamy myślą pod blaszany dach i szumiące świerki — i wałęsamy się po długich, krętych ścieżkach na wałach stawów.

KONIEC.

MOJA PODRÓŻ

STARY WIOŚLARZ.

(Dalszy ciąg)

Ciągnąć pod bystry prąd dość ciężko balastowaną łódź na 2 krótkie, wśród ciemnej nocy i po nieznanej wodzie, nie było łatwem zadaniem. Zacząłem uczuwać znużenie. Zdawało mi się, że ta podróż nigdy się nie skończy i że lada chwili wypuszczę wiosła z rąk, czyli „zdechnę" — Naraz, zaszczekał pies, bądźże błogosławiony za ten hejnał Kruczku czy Burku! — zamajaczyły chaty na lewym brzegu. — Chwała Bogu! to Kośmin nareszcie! — Najdalej za pół godziny będziemy w domu. — Otucha wznowiła siły, znużenie momentalnie ustąpiło. — Łódź pociągnięta silniej, znowu pomknęła naprzód. — Już i pociemku orjentuję się należycie. Znam przecie tę część rzeki doskonale, każdą mieliznę, każdy zakręt. — O! mijamy właśnie ostatnie chałupy wsi, Zaczynamy okrążać park; za kwadrans staniemy u celu. Wiem, że jesteśmy oczekiwani tam z niepokojem. Zapowiedziałem przyjazd najpóźniej na 19-tą, a tu już 21 dochodzi. — Stop! wyjmuję z torby rewolwer i daję sygnał — 2 strzały w górę. Po chwili słyszę taką samą odpowiedź, a wkrótce potem liczne głosy. Całe towarzystwo wyległo na nasze spotkanie.

Punkt o 21-ej dobiliśmy do brzegu w małej zatoczce — nawprost dworu. — Domownicy dopomogli nam rozładować „Grażynę". Wszystkie części ruchome jak: wiosła, ster, siodełko i t.p. przezorność nakazywała zabezpieczyć pod dachem.

W kilkanaście minut po wylądowaniu siedzieliśmy już za suto zastawionym stołem, w miłem gronie ca-

łego kośmińskiego towarzzystwa. Oczywiście trzeba było szczegółowo opowiadać wrażenia i przygody podróży. Przed północą udaliśmy się na dobrze zasłużony spoczynek.

Zdawało mi się, że nazajutrz nie wstanę przedpołudniem, lecz wbrew tym przypuszczeniom już o 7 dosiadłem „Grażyny" i pociągnąłem parę kilometrów w górę poza Sarny i Strzyżowice. Odtąd codziennie używałem ulubionego sportu sam lub z balastem. Panie zawsze chętnie przyjmowały zaproszenie do przejażdżki.

W tych codziennych włóczęgach poznałem dokładnie Wieprz aż do Osmolić, położonych na prawym brzegu około 10-ciu kilometrów wodą powyżej Kośmina, gdy droga jezdna wynosiła niecałe 6 kilometrów.

Niestety! nie dane mi było cieszyć się długo temi błogiemi chwilami. Po tygodniu temperatura gwałtownie się obniżyła i zimne deszcze zaczęły psocić. A co ważniejsza, nadchodzące ze świata wieści były zapowiedzią groźnych wypadków.

W obawie wybuchu wojny po nieudałych próbach telegrafowania wyprawiłeem 27 lipca dwie karty do druha Kukiera — jedną zwykłą drogą przez Ryki, drugą okazyjnie przez Łuków z wezwaniem o natychmiastowy przyjazd do Kośmina dla wspólnego spłynięcia do Warszawy. Prosiłem, aby niezwłocznie odpowiedział w razie niemożności przybycia. Odpowiedź jednak nie nadchodziła, co wskazywało na mocne już powikłania w komunikacji pocztowej, wskutek ogłoszenia 30 lipca mobilizacji sił wojskowych. W najwyższym niepokoju, abym przez zamknięcie dróg wodnych nie został wraz z „Grażyną" uwięziony na Wieprzu, postanowiłem 4 sierpnia puścić się samemu w drogę, byle tylko łódź doprowadzić do Warszawy. Było już jednak za późno! Od rybaków i Oryli z Sędowic, dokąd się udałem dla zasięgnięcia języka, dowiedziałem się, że wszelkiego rodzaju i typu środki przewozowe na Wiśle, niewyłączając łódek rybarskich zostały zarekwirowane przez władze wojskowe, żegluga i spław prywatny zakazane i że nawet zbliżyć się nie wolno do twierdzy i fortów. W przeddzień łódź rybacka, która niebacznie podeszła do jednego z fortów na Wieprzu była ostrzeliwana, a rybacy tylko cudem uszli z życiem.

Wiadomości te zostały potwierdzone przez ludzi przybyłych właśnie z Iwangrodu. Starania o przepustkę nie odniosły najmniejszego skutku wobec ogłoszenia stanu wojennego i kategorycznego zakazu jakiegokolwiek ruchu łodzi na Wiśle, całkowicie obstawionej strażami i oddanej wyłącznie dla transportów wojskowych.

Trzeba więc było zrezygnować z przedsięwzięcia i pomyśleć o należytem chociaż zabezpieczeniu łodzi.

Kośmin, jako położony w sferze strzałów fortecznych, wydał mi się niezbyt pewnem schroniskiem dla „Grażyny". Podciągnąłem się tedy na niej do Osmolic, majątku księcia Czartoryskiego z wysoką hodowlą koni rasowych i tam oddałem administracji dóbr z prośbą o otoczenie opieką własności T-wa, co mi solennie przyrzeczono.

Dokonawszy tego, sam z wielką trudnością dostałem się do Warszawy 11 sierpnia i to via Łuków, gdyż nawet marzyć nie można było o zdobyciu miejsca w przepełnionych wojskiem pociągach iwangrodzkich.

Jak się wyjaśniło następnie druh Kukier żadnej mojej karty nie otrzymał, zapewne na skutek zamieszania, jakie w stosunkach pocztowych wywołał wybuch wojny.

Oddając łódź pod opiekę administracji dóbr Osmolickich, byłem najmocniej przekonany, że jeszcze tego

lata, po uciszeniu się pierwszej burzy, a najpóźniej na wiosnę 15 roku, spłynę do Warszawy. Nadzieje te zawiodły! Sprawy europejskie coraz więcej się gmatwały. Wypadki wojenne i zmiany linji frontu następowały po sobie z błyskawiczną szybkością. Pociągnęło to za sobą coraz większe utrudnienia ruchu na wszelkich drogach komunikacyjnych, tak, że środki, podejmowane przezemne celem sprowadzenia „Grażyny" do Warszawy, nie odniosły pożądanego skutku.

Tymczasem pod koniec sierpnia 15 roku nawała wojenna dosięgnęła okolic nadwieprzańskich i przewaliła się przez Osmolice, pozostawiając po sobie zniszczenie mostów i wszelkich środków przewozowych wodnych. W liczbie łodzi rozmyślnie podziurawionych i zatopionych znalazła się i nasza „Grażyna". Wydobyto ją wprawdzie z wody, ale w stanie nie budzącym nadziei doprowadzenia jej do należytego porządku i zdolności użytku sportowego.

Taki smętny koniec miała moja niedokończona podróż po Wieprzu! Siła wyższa, niezależna od woli ludzkiej, przerwała ją gwałtownie i spowodowała zniszczenie łodzi.

Niezmiernie żałuję, że tak się stało i że zamierzonej wycieczki przynajmniej do Strasznegostawu nie udało się doprowadzić. Brzegi Wieprza przedstawiają dla turysty wiele powabu i wdzięku. Trud sowicie opłacają miłe wrażenia, zupełnie odmiennych na Wiśle krajobrazów.

Spławowi jednak Wieprz oddaje niewielkie usługi w tym stanie, w jakim się znajduje. Szalone jego zakręty przy bardzo wązkim nurcie i ostrym prądzie sprawiają, że zaledwie 4 sztuki budulcu mogą być zbijane w tratwę, nie więcej niż z dwuch takich przęseł złożonej.

Wymaga to licznej obsługi i podnosi znacznie koszty spławu. Dopiero poniżej Bobrownik przed samem ujściem do Wisły, gdzie Wieprz znacznie się rozszerza, tratwy są przerabiane z przystosowaniem do warunków spławu wiślanego.

Charakterystykę Wieprza stanowią bardzo liczne zatoki i rozlewiska nazywane przez okoliczny lud „Wieprzyskami", które miejscami rozciągają się na znacznych przestrzeniach. Regulacja i ujęcie w karby głównego łożyska nie tylko poprawiłyby warunki spławu, lecz niewątpliwie przyniosłyby wielkie korzyści posiadaczom nadbrzeżnych gruntów, a co za tem idzie i rolnictwu krajowemu.

Stary wioślarz.

Z CISOWEGO DWORKU

Szeroko, jak co roku, otworzył Dworek swoje podwoje (właściwie drzwi i werandę) na przyjęcie całej rzeszy, jaka doń ze wszystkich stron Polski zjechała.

A wspaniałe jest to nasze „gospodarstwo", aż dziw, i tyle w niem zmian od zeszłego roku. Przedewszystkiem dom jest wymalowany i weranda oszklona, oraz zaprowadzona kanalizacja. Wyobrażacie sobie, co to za rozkosz móc np. po 30 km. drodze z Nowego Targu i trzęsieniu się na furze wespół z kaszami, słoniną, garnkami i t. p. rzeczami wykąpać się w „prawdziwej" wannie, do której nawet woda „sama" się leje, a nie potrzeba jej nosić. Niby to Dworek jest ciasny, ale jakąś cudowną zdolność rozszerzania się posiada, bo lokatorów wciąż przybywa, a miejsca nigdy nie braknie.

Na strychu panował obóz roboczy i różne osobliwości się tam działy

(zwłaszcza wieczorami). Na piętrze swój śliczny pokój z balkonem na ogród i Tatry zamieszkiwała Druhna Oleńka, w łowickim rezydowały „filary“ Dworku: Irka — biuralistka, Kokosia — gospodyni, zwana też Kuratorką i insze dostojne osoby. Pokój obok zajmowała druhna Zosia — sklepikarka z młodszą dzieciarnią, narożny zaś — Druhna Marysia — Zielony Kot z Inowrocławia, będąca w Dworku dla leczenia.

Zapomniałam jeszcze o „Oxfordzie“, pokoju gościnnym, lub służącym za przytułek druhowi Laurie'mu, instruktorowi angielskiemu, który często do Dworku zajeżdża.

Na dole mieścił się warsztat (prasowalnia, malowanie garnczków, sprzedawanych przez Dworek i t. d.) w zimowej jadalni; od czasu przybycia fortepjanu służył on nam również za salon i pokój do marzeń, posiadał bowiem bujak trzcinowy. Tutaj też było biuro, w niem kąt na bibljoteczkę, a po obiedzie funkcjonował tam też „słodki sklepik“. Obok łazienka z dwiema wannami, prysznicami i ziewami, duma i chluba całego Dworku, utrapienie zastępu służbowego. Dalej ambulatorjum dla chorych przychodnich (ze wsi przeważnie), którzy w liczbie conajmniej kilku zjawiali się codzienne i apteczka. Za niem mieściła się spiżarnia, gdzie obok produktów codziennej potrzeby (pomiędzy któremi pierwsze miejsce zajmowała „potrawa narodowa“ Dworku— kasza kukurydziana) znajdowały się słoiki z konfiturami i soki, przedmiot głębokich westchnień mieszkańców strychu.

W największym wreszcie, narożnym pokoju mieszkali chłopcy, różni harcerscy krewni i powinowaci, pod wodzą t. zw. Druha Anioła Stróża, wielce dostojnego instruktora, który nawet gdyby aniołem nie był, zostałby nim z pewnością, za samo sprawowanie owej opieki. Na dole, w piwnicy mieściła się kuchnia, spiżarnia „zimna“, skład węgla i 3 piwniczki na drzewo i jarzyny. Jadaliśmy na werandzie, gdzie jest cudownie, zwłaszcza o zachodzie słońca i skąd w pogodne dnie widać Tatry.

Tak się przedstawia dom.

Ogród prosperuje doskonale, co tydzień fura jarzyn jedzie do Nowego Targu na rynek, co przyczynia spekulantom jarzynowym wiele kłopotu, a Dworkowi dochodu.

Na dole, w oborze również powiększyła się liczba mieszkańców: przybyła klacz Jaga, krowa Laura, a prosiaki i kury pozostały w dawnej ilości. Polne gospodarstwo też się rozszerzyło, bo pole nie jest już w dzierżawie i pierwsze „nasze“ żniwa były w tym roku. Dogląda tego wszystkiego pan ogrodnik, jedna z najgroźniejszych „władz“ w Cisowym Dworku, i biada mieszkańcom strychu, jeśli zauważy brak gorliwości, lub niedokładność w robocie, oj bywa to wtedy!

Ruch w naszem gazdostwie trwa cały rok. Najgwarniej oczywiście jest latem, kiedy pełno obozów w Dworku i „na kamieńcu“ nad rzeką, bliżej i dalej. Ale i zimą też jest wesoło i dość ludno, zwłaszcza, że teraz jest aż 10 dzieciaków na nauce. Będą one miały lekcje w zakresie szkoły powszechnej, poza tem będą się uczyły robót i rzemiosł (szkoła oparta na zasadzie „Szkoły pracy“) będą saneczkować i jeździć na nartach, bawić się na świeżem powietrzu, wzmacniać i rozwijać pod każdym względem. Zaś opłata, przez nie składana, umożliwi Dworkowi byt i przyjmowanie latem w swe progi jak największej gromady, z roku na rok coraz liczniejszej, bo kto tam raz pojedzie, będzie chciał jeździć co roku.

Trzeba tam samemu być, żeby się o tem przekonać, więc kto tego nie sprawdził, niech pojedzie, a zobaczy.

Czuwajcie! **A. R.**

IMIENINY DRUHNY OLEŃKI

11 lipca wróciliśmy z wycieczki w Pieniny, przemoknięci do ostatniej nitki. Zamiast przez Trzy Korony trzeba było wskutek ulewnego deszczu iść szosą i przez hale, wskutek czego już koło 2-ej p. p. znaleźliśmy się w Dworku. Po gruntownem przebraniu i obiedzie (bo że tam kilka sybaryckich osobników wpakowało się do łóżek, czy właściwie na sienniki — o tem wspominać nie warto) zaczął obóz roboczy obmyślać wieczorną uroczystość. Było już przygotowane i przećwiczone coś, co się szumnie określało jako „balet" (były to tańce rytmiczne do deklamacji „Widzenia Ewy" z III Cz. Dziadów), ale kiedyśmy zaczęły wypróbowywać obecnie, okazało się, że każda myliła figury, a wszystkim wycieczka i zmoknięcie odebrało „przyrodzoną grację". Zaczęto tedy kombinować inne rzeczy, znosić stroje, słowem uczynił się przedziwny bałagan, którego „nie zauważała" Druhna Oleńka, prowadząca z instruktorkami poważne rozmowy. W czasie wieczerzy, przerywanej mniej lub więcej bezładnemi uwagami i spojrzeniami przybyła delegacja męskiej „Ósemki" warszawskiej, sami poważni i groźni instruktorzy. Skutkiem ich przybycia było, że „babiniec" zamienił kilkadziesiąt jeszcze bezładniejszych spojrzeń, rozpaczliwych uwag, skonsumował mniejszą ilość chleba z bryndzą i powidłami, niż zwykle i opuścił czemprędziej werandę. Część pomagała ubierać się występującym (a nie myślcie, że to byle co — artystkom baletu wkładało się suknie z białej bibułki, co wymagało wielkich starań, bo jej więcej nie było), część zmywała w wielkim pośpiechu naczynia (nic nie potłuczono, bo były blaszane) i urządzała „salon".

Z warsztatu — zimowej jadalni — wyniosło się garnczki, deski, przyrządy chłopców, ustawiło wszystkie ławki i krzesła, jakie tylko były w Dworku. Na nich zasiadła Druhna Oleńka i „wielkie siarże", plebs na ziemi. Najpierw było widowisko rytmiczne (niebardzo tam jakoś było wiele rytmu, ale mniejsza z tem), potem żydowskie występy Białego Gołębia, sztubackie „Starego Płocka", kozak Kokosi, śpiewy i muzyka na skrzypcach i fortepjanie. A potem prosiliśmy o gawędę. Zamiast ogniska postawiło się lampkę naftową na podłodze i druh „Medzio" instruktor z Ósemki powiedział kilka bardzo serdecznych słów o Dworku i Druhnie Oleńce — naszej Gaździnie — coprawda przy akompanjamencie wielce niepolitycznych chóralnych uwag swych towarzyszy (były one skierowane w kierunku jego umysłowości i elokwencji). Zrobiło nam się „ciepło na sercu", a kiedy jeszcze Druhna Oleńka opowiedziała cudowną bajkę o królewiczu w masce — całkiem było cicho i „statecznie".

Ale Gaździna spytała czybyśmy nie chcieli zatańczyć. „Nastrój" prysł, zaczęło się siarczyste wywijanie. Muzyka była wspaniała — fortepjan i skrzypce; wybawiła się gromada za wszystkie czasy. Potem o północy była herbata z piernikami (z zastrzeżeniem dla domowych: nie brać więcej jak 2), a wreszcie wspólna modlitwa przed domem. I tak się skończył ów „barż pikny" dzień.

Rena.

POBUDKA HARCERSKA

(Na nutę: „Naprzód drużyno strzelecka").

Czuwaj, drużyno harcerzy!
Ślubuj na Boga i cześć
Bronić Ojczyzny rubieży,
Życie za Polskę swe nieść!
Gdy walczyć nam przyjdzie za młodu,
My pierwsi rzucimy się w bój!
Ducha zapalim Narodu,
Mocy otworzym Mu zdrój!

Czuwaj, ty — orla drużyno!
W sercach rozpłomień nam krew!
Szczytnie harcerze niech słyną
Czujni, ofiarni na zew!
Gdy walczyć nam przyjdzie za młodu,
My pierwsi rzucimy się w bój!
Ducha zapalim Narodu,
Mocy otworzym Mu zdrój!

Próżno nam grożą wrogowie,
Próżno czyhają z dwóch stron,
Zdradnym zamachom odpowie
Naszych obronnych salw dzwon!
Gdy walczyć nam przyjdzie za młodu,
My pierwsi rzucimy się w bój!
Ducha zapalim Narodu,
Mocy otworzym Mu zdrój!

Baczność w harcerskiej drużynie!
Otrąb co świtu tę wieść:
Każdy z najeźdźców tu zginie!
Polski nie damy im zgnieść!
Gdy walczyć nam przyjdzie za młodu,
My pierwsi rzucimy się w bój!
Ducha zapalim Narodu,
Mocy otworzym Mu zdrój!

Warszawa. *Marjan Pęczalski.*

MARSZ HARCERZY

(Na nutę: Marsza żuawów: „Nie masz to wiary, jak w naszym znaku").

Nie masz to, bracie, jak być harcerzem:
Blaskami słońca płonie w nas życie,
Polska nas poi tchnieniem pól świeżem,
Nasz hufiec młody czuwa na szczycie!
Gdzie świt już zorze swe jasne pali,
Tam loty wzbijem — polskie orlęta,
W ogniu serc świętym i w czynów stali
Jest nasza cała siła zaklęta!
Nieśmy harcerze,
Polsce w ofierze
Siły swe świeże!
Marsz, marsz! harcerze! (bis).

Z pieśnią na ustach, dumnie, mocarnie
W ślady świetlanych dążym rycerzy,
Ich bohaterstwo niech nas ogarnie,
W poświęceń tryumf każdy z nas wierzy.
Szczytna idea promiennej młodzi,
Jej wiara w jutrznię, w potęgę ducha
Z bólów niewoli Naród odrodzi,
Iskry zapału — w słońca rozdmucha!
Spieszmy, harcerze,
Tam, gdzie rubieże!
Czujnych Bóg strzeże!
Marsz, marsz, harcerze! (bis).

Na krew swych ojców w walkach przelaną
Ślubujem bronić życiem wolności,
Z ich krwi ofiarnej — cudy powstaną,
Szczęście i sława w Polsce zagości!
Lecz niechaj tylko ojczyste łany
Zdradziecko napaść wrogi się ważą,
Porwiem się wszyscy, jak lwy — tytany
I, jak piorunem, skruszym moc wrażą!
Nieśmy, harcerze,
Polsce w ofierze
Siły swe świeże!
Marsz, marsz! harcerze!
Śpieszmy, harcerze,
Tam, gdzie rubieże!
Czujnych Bóg strzeże
Marsz, marsz! harcerze!

Warszawa. *Marjan Pęczalski.*

OBÓZ ROBOCZY

Słyszałyście, druhny pewnie wszystkie o obozach roboczych w Cisowym Dworku, ale nie wiem, czy dobrze wiecie, co to właściwie jest. Więc jako stary Dworkowy bywalec postanowiłam wam trochę o tem opowiedzieć.

Obozy te trwają zwykle od jakiejś połowy maja do końca sierpnia. Obóz taki mieszka na strychu, prowadzi całe gospodarstwo domowe, utrzymuje w porządku dom, pracuje w ogrodzie, w polu, wogóle wykonywa wszystkie roboty, potrzebne w danej chwili. Opłata w tym roku wynosiła 20 zł. miesięcznie, może na przyszłość uda się Dworkowi wybrnąć i bez tego, bo zasadą obozu roboczego jest to, że uczestniczki zarabiają na swe utrzymanie, czyli że pracą swą pokrywają jego koszty.

Co do przyjmowania kandydatek, to należy się poinformować w swoich komendach chorągwianych, hufcach i zgłaszać albo przez nie, albo bezpośrednio (Poczta Czorsztyn. Przez Nowy Targ. Dworek Cisowy. Druhna Olga Małkowska). Kwalifikacyj specjalnych nie potrzeba, tylko zdrowia i sił (potrzebne świadectwo lekarskiej), no i przedewszystkiem dobrej woli. Druhny, nie macie pojęcia ile taki obóz dać może. Ile daje zdrowia, sił, wiadomości praktycznych, a przedewszystkiem ile radości, ile dobra wewnętrznego. Piszę o tem teraz, żebyście się mogły dobrze nad tem namyślić i ułożyć sobie i żebyście jak największą gromadą stanęły w Dworku tego lata, swą obecnością i pracą podziękować Druhnie Oleńce za wszystko, co dla nas zrobiła. Czuwaj!

DLA WILCZKÓW I ZUCHÓW

Czy wiecie, Zuchy kochane, że na samym krańcu Polski, gdzie stoi nasz Cisowy Dworek, na takiej zapadłej wsi, skąd do miasta 30 km. też jest zastęp Zuchów. Prowadzą go druhny z Cisowego Dworku. Zuchów jest 9. w tym samym wieku co i wy, ale pewnie więcej mają obowiązków i trosk na głowie, niż wy. Bo widzicie, ludzie w górach przeważnie są biedni bardzo, gdyż ziemia jest kamienista, nieurodzajna, niewiele na niej rośnie, a i to trzeba się dobrze napracować, nim się so wydobędzie z niej. Rodzice Zuchów idą tedy w pole, jak zwykle na wsi, a taki 10-letni Zuch musi pilnować gospodarstwa i opiekować się rodzeństwem.

Zuchy są bardzo czyste i wiecie, że każde z nich posiada szczoteczkę do zębów i codzień jej używa! Pilnują też czystości i porządku w swych chatach, szorują wszystko i wietrzą (był nawet taki jeden Zuch, który w lutym nocą wstawał i otwierał okna). Każdej soboty przychodzą do Dworku kąpać się, przyprowadzają też swoje rodzeństwo. Bardzo zabawne są, gdy tak idą wieczorem, otulone wielkiemi chustami, trzymając się sznurem za ręce.

— A co robią na zbiórkach? — spytacie.

— To samo co i wy. Uczą się różnych pożytecznych rzeczy, słuchają ciekawych wiadomości, śpiewają, bawią się w różne gry, tańczą i śmieją się. Jak będziecie większe i pojedziecie do Dworku, to zapoznacie się z niemi, jeśli już teraz jesteście ciekawe i chciałybyście coś więcej o nic wiedzieć — to napiszcie do „Harcerza", a może znów coś opowie wam o nich. Czuwajcie!

CO SŁYCHAĆ W Z. H. P.

CZĘSTOCHOWA
(Zwycięstwo harcerzy).

Dn. 5 września b. r. Obwód Częstochowski Związku Strzeleckiego urządził zawody marszowe (ekwipunek patrolowy: mundur, karabin, ładownica, chlebak) na przestrzeni 52 km. (Częstochowa — Trzepizury — Wręczyca — Kłobucko — Częstochowa).

Do wzięcia udziału w Komitecie organizacyjnym i zawodach otrzymał także zaproszenie i hufiec częstochowski Z. H. P. Wobec spóźnionego zaproszenia, które przyszło 5 dni przed zawodami — trudno było wystawić więcej — jak jedną drużynę reprezentacyjną. Zresztą lepiej mniej — a dobrze.

W niedzielę — 5 września — o godz. 7-ej rano stanęło na starcie 5 drużyn strzeleckich i jedna harcerska. (Rozumie sie tu drużyny wojskowe — po 13 ludzi). Harcerska drużyna nosi Nr. 3 — a kiedy przychodzi na nią kolej — ochoczo — ze śpiewem na ustach rusza naprzód. Aby się zbytnio nie męczyć, wkrótce przestają śpiewać; posuwają się tylko w milczeniu szybkim, krótkim krokiem. Zaraz za miastem harcerze mijają drużynę Nr. 2. Duch w drużynie naszej dobry — i słyszymy zdania fachowców — że „jeśli harcerze przed czasem nie „spuchną", jeśli utrzymają się tak całą drogę — to przyjdą pierwsi". Przed nami idzie jedynie rozsypana drużyna Nr. 1.

Trzepizury. Pierwszy punkt kontrolny. Ze względu na wczesną godzinę publiczności nie wiele. Brama tryumfalna. Orkiestra. Komitet przyjęcia. Z boku stół z posiłkiem. Drużyna harcerska nie zatrzymuje się ani chwili, przebiegając czwórkami — szybkim krokiem przed sędziami. Za Trzepizurami mijamy idącą do tej pory przed nami drużynę Nr. 1. Za naszą drużyną bezpośrednio idzie teraz rywalizująca z nami drużyna Nr. 6.

Wręczyca. Drugi punkt kontrolny. Harcerska drużyna ma tu już zdecydowanie najlepszy czas. Aby tylko nie „spuchła" przedwcześnie, gdyż idzie zupełnie bez treningu. Za Wręczycą spotyka nas niesłuszna dyskwalifikacja. Posądzono nas, że zamiast idącego do tej pory harcerza, podstawiliśmy innego, który jechał na rowerze. Drużyna — wiedząc, że zarzucają jej to, czegoby nigdy nie uczyniła — maszeruje wytrwale naprzód — choć okrzyk sędziego — strzelca B.: „Drużyna zdyskwalifikowana!" w pierwszej chwili drużynę zmieszał.

Kłobucko. Zdala widać bramę tryumfalną i tłum publiczności. Drużyny wita komitet z p. starostą częstochowskim na czele. Pierwsza wkracza o godz. 10 min. 54 raźno i ze śpiewem — w bardzo dobrej formie drużyna harcerska Nr. 3. Za nią w 12 minut przychodzi drużyna strzelecka Nr. 6 i inne w odstępach kilkominutowych. W Kłobucku odpoczynek 2 godz. 30 min. Pewną, choć skromną pomoc — dała nam 13 drużyna kłobucka. Komitet dostarcza posiłku. Zjawia się sędzia B. i przeprasza za niesłuszny zarzut. Mycie nóg, masaż, opatrunki — lekki posiłek —badanie lekarskie — i jeszcze pół godziny spoczynku. Drużyna harcerska śpiewem dziękuje za gościnę — udajemy się na start.

Z Kłobucka zaczyna się bieg indywidualny. Według uchwały miały drużyny wychodzić w tej kolejności w jakiej przyszły— z zachowaniem różnic w czasie, nie wiadomo jednak dla czego o godz. 13-ej min. 40— wypuszczono wszystkie drużyny razem. Indywidualiści wybiegają naprzód — drużyny zaś — rzecz dziwna — mając przed sobą 18 km. drogi — zrywają z miejsca — jak do 100-metrówki. Drużyna harcerska maszeruje wolno — stopniowo skracając krok i zwiększając tempo.

W biegu indywidualnym zdobyliśmy dopiero 8-me miejsce mianowicie: M. Maciatowicz Kazimierz (drużyna harcerska im. Łukasińskiego) przybył w 1 g. 46 min. 30 sek. (czas gorszy o 9 min. 30 sek. od zwycięzcy).

Jako drużyna — zwyciężyła drużyna harcerska Nr. 3 — przebywając **52 km. w czasie 5 godz. 43 min. 5 sek.** w składzie: 1.

druh Opałko Włodzimierz, 2. Niemierko Jan Kazim.; 3. Hazler Tadeusz; 4. Henel Roman; 5. Maciałowicz Kazimierz; 6. Nurczyński Jan; 7. Marczewski Stanisław; 8 Raszewski Tadeusz; 9. Małek Stanisław; 10. Główczyński Ludwik; 11. Balik Stanisław; 12. Przesłoński Henryk; 13. Robak Stanisław.

Dopiero w 20 min. 41 sek. po drużynie harcerskiej przybywa następna drużyna strzelecka Nr. 6.

Poza konkursem stawał kpt. Burchardt z 4 p. a.c. — który całą trasę przebył marszem w 6 godz. 31 min.

Organizacja zawodów dobra i sprężysta.

Rozpoczęcie roku harc. w Częstochowie.

Dn. 19 września b. r. hufce częstochowskie —męski i żeński rozpoczęły rok harcerski wspólnem nabożeństwem w kościele garnizonowym. Po nabożeństwie — defilada przed sztandarem. Wieczornica, urozmaicona śpiewami, tańcami, komicznym boksem 26-ej drużyny oraz występami „króla żelaza" — 18-letniego dha Marczewskiego Stanisława z 9-ej drużyny — który gnąc w zębach i rękach sztaby żelaza grubości 10 mm., tworzył monogramy, lilje i „branzolety" zakończyła naszą uroczystość.

Sław.

Z ŁOWICZA

W niedzielę 3 października odbyło się tutaj uroczyste rozpoczęcie nowego roku pracy w drużynach Harcerskich.

Najpierw odbyło się nabożeństwo w kościele po pijarskim, na które stawiły się drużyny ze sztandarami. Po nabożeństwie złożono wieniec na pomniku poległych za Wolność Łowiczan, poczem defilada i powrót do gimnazjum. Tam po odczytaniu rozkazu K. Ch W. i wręczeniu dyplomów zwycięzcom w pięcioboju o misfrzostwo Hufca ks. Łowickiego na rok 1926 uroczystość zakończono.

Dnia 16 października 1926 r. o godz. 7-ej wieczorem w kościele P. P. Kanoniczek — Plac Teatralny — odbył się ślub Walerji Garlińskiej z druhem por. k. a. Juljanem Lucjanem Leśniewskim.

Szczęść Wam Boże!

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Druhowi Goryla z Berlina. Wasze opowiadanie na dzisiaj spóźnione — napiszcie co robiliście w czasie wakacji i co robicie teraz.

PRENUMERATA WYNOSI:

Rocznie	wraz	z	przesyłką	12	zł.
Półrocznie	„	„	„	6	„
Kwartalnie	„	„	„	3	„
Miesięcznie	„	„	„	1	„

CENY OGŁOSZEŃ:

Za całą stronę	. . . . . .	100 zł.
„ $^1/_2$ strony	. . . . . .	55 „
„ $^1/_4$ „	. . . . . .	30 „

Numer pojedyńczy 50 groszy.

Prenumeratę wpłacać należy na konto P. K. O. Nr. 10,020 albo przekazem pocztowym do administracji „Harcerza" w Warszawie, ul. Traugutta Nr. 2.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor: *T. Uhma.*

Druk. M. S. Wojsk. Przejazd 10.